

KURYER RZESZOWSKI

PRESDRUKA na „Kuryer Rzeszowski” wynosi dla subskrybentów rocznie 4 złr. 50 ct., półrocznie 2 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 12 1/2 ct., miesięcznie 50 ct., dla zamiejscowych rocznie 5 złr., półrocznie 2 złr. 50 ct., kwartalnie 1 złr. 50 ct., miesięcznie 45 ct. — Numer pojedynczy kosztuje 12 ct.

Wychodzi w każdą niedzielę.

BUREAU REDAKCYI I ADMINISTRACYI znajduje się w Rzeszowie w Katedrze 72. Al. Pelasa (St. Goszopy). — CENA OGŁOSZEŃ: 1 ct. od miejsca ogłoszeń jednego wiersza drukuwa — dziennie (pości.). — Reklamy w rubryce „Nadzwyczajne” 50-100 ct. od wiersza. — Skopisów nadsyłanych Redakcyi nie zwraca.

Do naszych pań.

Życie ludzkie lubuje się niekiedy w łączeniu jaskrawych kontrastów; zespoliło też ono dwie rzeczy jednako smutne i dotkliwie. Gdy ziemia leży w letargu, a żywotne jej pulsas biją tak słabo, że je ledwie dosłyszeć można, wówczas człowiek najboleśniej odczuwa brutalność przyrody, która, gdy nie jest matką czułą, bywa odrodną macochą. Działa tu ona na wspólny z nędzą, wiedząc, że bez tego współnictwa zmódlby człowieka nie mogła. Lato jest sprzymierzeńcem biedaka, ale zima jego najcięższym wrogiem. Mróz nie przebaczy żadnej ludzkiej istocie, która nie posiada środków do zabezpieczenia sobie dachu nad głową, drzewa do komina i ciepłego odzienia. Jeżeli słońce czerwcowe zagląda nędzaczom w oczy w sposób obudzający otuchę, to natomiast słońce zimowe wykrzywi się do nich z szatańską ironią. Tam jednak, gdzie przestaje ogrzewać ta materialna a może i martwa kula, zawiązana w przestrzeni przez nieznana siłę, zjawia się z ciepłem ożywczem inne słońce, bez którego bezpłodnym byłby świat ducha, a któremu na imię: „miłość”. Tam, kiedy ta potęga występuje do działania, objawiają się nie

jałowemi westchnieniami, ale szlachetnym czynem, zimą i nędzą na kształt dziłkich zwierząt ujarzmionych, chowają pazury i kładą się pokornie u stóp człowieka, szkodzić mu nie mogąc.

Miłosierdzie, świadczone przez bliźniego, zastępuje nędzaczowi wszystkie pieczęty letnich i wiosennych poranków i cały przepych tych najdroższych, a nie człowieka nie kosztujących rozkoszy, jakie ziemia, gdy swę doroczne obchodzą, dokola rozleca.

Fantastyczne zygaski, jakie mróz wypisuje na potłuczonych zrybach poddaża, miłosierdzie zmienia w kwiaty, pełne barw cudnych i woni, które z nory żebraczej czynią rajski wirydarz...

Dłoń miłosierdzia, podająca nędzaczowi chleb dla niego i dla jego rodziny, w ciemnościach, które godnych otaczają, błyszczą światłem, mocniejszym od słonecznego...

Głos, którym miłosierdzie przemawia do biedaków: „Chodźcie, ogrzeję was i nakarmię”, brzmi w ich uszach śliczniej i melodyjniej; niżli wiośenne chóry słowików.

Wszystko, co dzisiaj mówimy, jest zwrotką do zbytku powtarzanej piosen-

ki na starą nutę, któż nam jednak wśród pieśni nowych wskaże choć jedną, którą dorównała pięknością owej: „Kochaj bliźniego swego, jak siebie samego”.

Te uwagi przychodzą nam na myśl w chwili, gdy nieubłagana zima poczyna w tak okrutny sposób pastwić się i uragać ludzkiej niedoli, która co krokiem oczołom się naszym przedstawia.

Zapustmy się tylko w załki miasta, zaglądniemy do owych nędznych domów, mieszkań pniwnicznych, ileż tam nędzaczów o głodzie i chłodzie podziwój marny żywot, ileż dałsei wzdycha tam do kawałka suchego chleba; do który tak trudno im na świecie.

A cóż robimy, by ulżyć tej niedoli? Jałmużna dawana przez jednostkę, to kropla w morzu; tu trzeba zorganizowanej pomocy ze strony społeczeństwa, które, jako całość abiorowa, jest potęgą mogącą z łatwością, spośród siebie wypełnić nędzę i głód.

Niedawno zawiązało się u nas, za inicjatywą ks. jezuity Zaleskiego, Towarzystwo: „Dam św. Winocentego à Paulo”, które obok przestrzegania praktyk religijnych, także i ten piękny cel ma na oku. Towarzystwo to jednak, jakkolwiek lat już kilka istnieje, nie jest i

Z PAMIĘTNIKÓW POWSTAŃCA.

NAPISAŁ PICCOLO.

3).

(Ciąg dalszy).

(Jestem murarzem z Radomyśla. — Aresztowania przy przeprawie przez Saur. — W karczmie. — Jednem w Zaleszanych. — Ucieczka do kuchni).

Było już gdzieś dobrze po południu, gdyśmy się obudzili. Żołądki nasze przemawiały głośno, że i im się coś należy. Z chaty wyszedł właśnie męczyzna barczysty z torbą u boku i strzelbą na ramieniu, twarz jego wyglądała poczciwie. Zdecydowaliśmy się tedy wyjść z naszego legowiska.

Spostrzegłszy nas leśnik stanął. Przystąpiłem do niego, a powitałszy słowem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, opowiedziałem nasze położenie i prosiłem, by nam za zapłatę dał ciepłego do siedzenia i wskazał dalszą, bezpieczną drogę.

Poczciwy leśnik zaprosił nas do chaty, zona zakrzętnęła się około kuchni i niebawem stanęła na stole potężna misa kapusty ze spiczką, a drugą dympnęli się siemiakami, dodajmy do tego chleb ra-

zowy i garnek mleka, a można sobie wyobrazić, jak wspaniałą była nasza uczta. Poczciwi ludziska nie przyjęli żadnej zapłaty. Podziękowaliśmy im więc serdecznie za gościnność, a leśny przeprowadził nas przez las i wskazał drogę ku Radomyślowi.

Po drodze spotkaliśmy murarza z Radomyśla, który wracał z roboty w Królestwie. Rozgadałiśmy się i poczciwiec zaprosił nas na noc do swego domu.

Nakarmieni i napojeni sownicę, przespałiśmy noc, smacznie, w miękim puchu pierzyn. Zeszło się nazajutrz kilku sąsiadów i uradzono, że najlepiej będzie, byśmy się przebrali, za murarzy i w ich towarzystwie przeprawili się przez San na promie, na drugim bowiem brzegu, jest patrol wojskowy, któryby nas łatwo mógł aresztować, w ich zaś gronie może nam się udać wymknąć.

Widziałiśmy tedy na wierzeh obzerzać kapoty z peticami, na głowach czapki potężne, jak okrągłe półmiski powalali ręce trochę błotem i wspanem, każdy wziął pod pachę tobolek z kielnią, kawalkiem chleba i sera.

Tak w towarzystwie trzech panów majstrów i kilku czeladzi rzuszyliśmy do przedpromie.

Promie właśnie miał odbijać od brzegu, powskakiwalimy tedy doń i bystrą fale Sanu uniosły nas ku przeciwnemu brzegowi, gdzie już białe mundury czekały na nasze przyjęcie.

Przybijamy do brzegu; wysiadamy, pan fuhrer w towarzystwie kilku szeregowych zastępuje nam krokiem miernym drogę i pyta tonem urzędowym:

- A skądto panowie? —
- Z Radomyśla za robotą — odrzekł spokojnie starszy majster.
- Panowie widacie murarzy? —
- Murarze.
- Wszyscy? —
- A wszyscy.
- Czy i ten młody pan z brodką?
- Także.
- Proszę panów do karczmy — tu zięmno, tam jeszcze pogadamy, dajcie mi karczmę.

Karczma była niedaleko — poszliśmy i weszli do wielkiej izby szynkowej, gdzie było kilkunastu żołnierzy i kilka chłopów. Był krząca się za zmywaniem, szerzył ciekawe oczy ku nam. Pan fuhrer skępił

nie będzie nigdy w możności, ani w części nawet, zadąć uczynić temu właściwemu zadaniu. Dobroczynność, to ogólno ludzkie uczucie, i źle działają ci, którzy kryją je w nieostojownych formach, którzy starają się ukryć je w szczytnej ramy religijnego bractwa.

Najreligijniejsi nawet ludzie rzadko miewają ochotę do ostantacyjnego, kolektywnego wykonywania praktyk religijnych, i dlatego to istniejące Towarzystwo Wincentego à Paulo tak mało liczy członków, i dlatego nawet mówić by nie może, by mogło ono kiedy społeczeństwu naszemu przynieść prawdziwy pożytek.

Czyż nie byłoby wskazaniem, by miejsce skromnego, formalnościami skrupowanego Towarzystwa, zajęło wielkie, powszechne Towarzystwo dobroczynności, które nie pytając się o wyznanie i wiarę, podałoby rękę każdej nędzy prawdziwej, tak jak Chrystus Pan ongi nieszczęśliwemu Samarytaninowi?

Towarzystwo takie, choćby tylko na kilkocentowych oparte wkładkach, rozporządzałoby znacznym funduszem, liczyłoby tysiące członków, bo i któż uchyliliby się od należenia do Towarzystwa o tak pięknych celach, tem bardziej, że odpadałaby wówczas potrzeba dawania jałmużny wliczając się zebrakom. Towarzystwo św. Wincentego à Paulo nie przyjmuje dochodów z widowisk, zabaw, koncertów, teatrów, jako że źródła niereligijnych, Towarzystwo dobroczynności przyjmie je z wdzięcznością.

Podobna instytucja społeczna, na zdrowych oparta zasadach, odpowiadałaby swemu zadaniu, stałaby się prawdziwym dobrodziejstwem dla cierpiącej ludzkości, ulżyłaby nędzy, zaspokoila głód, uchyliliby demoralizację, wynikłą z pu-

blicznej zebraniu, a w wielki to wypadkach zaobiegali by zbrojni.

Spodziewamy się, że słowo nasze nie przebrani będną, że znajdzie się szlachetna osoba, która zdrowo i rozsądnie pojmując znaczenie dobroczynności, jak najrychlej wprowadzi w czyn nasz założenia u nas powszechnego Towarzystwa dobroczynności.

Te kilka słów zwracamy w pierwszym rzędzie do naszych pań!

Przyszły budynek Kasy oszczędności i publiczna opinia.

Z rysunku, wykonanego przez inżyniera miejsckiego, p. Bieńkowskiego, można poznać dokładnie wyobrażenie, jak przedstawiać się będzie przyszły budynek Kasy oszczędności.

Cały parter o oknach półokrągłych z kratami żelaznymi, ornamentowanymi, jest głęboko boniowany, a w kłozach okien umieszczone są głowy Merkurego. Nad bramą dębowa, bogato rzeźbiona, opatrzoną żmami okienkami, z kratą złożoną z liter KO, znajdują się dwie postacie z godłami przemysłu. Dwa ryzality na piętrze, tylko bokami boniowane, mają ganki wiszące, kamienne. Okna I. i II. piętra są bogato gzymosowane. Gryma koronacyjny, o płycie mocno wystającej, spartej na konsolkach, posiada fryz z okienkami dachowymi i rzeźbami. Nad gzymosem koronacyjnym budynku, w środku między dwoma ryzalitami, wznosi się attyka kamienna, bogato gzymosowana, z nyzą półokrągłą, w której jest umieszczona postać Matki Boskiej z dzieciątkiem Jezus na ręku, jako opiekunki Kasy. Nad nią na łukowym fryzie znajduje się napis „Kasa oszczędności“, a pod nim, w cokóle attyki, rzeźbiona płyta z napisem „Pracuj i oszczędzaj“.

Wielką osobą budynku jest wieża od strony ogólnym, z osmiokątnym, kopulastym, bogatym dachem, krytym łupkiem, a

zakńczonym strzelistą, ornamentowaną iglicą z chorągiewką i grzebniakami.

Na ścianie barokowej jej ścianie, między wysokimi oknami I. i II. piętra, umieszczony jest bogato rzeźbiony herb miasta z koroną, trzymany przed dwiema postaciami kobiecymi, zakończony u góry grymsem, a u dołu płytą z napisem „R. 1887“.

Całość przedstawia się bardzo wdzięcznie na zewnątrz będzie prawdziwą osobą Rzeszowa. Dotąd wszystko dobrze! Leć jakiej przeznaczenie wnętrza tego pięknego gmachu?...

W parterze mieścić się będą bióra Kasy oszczędności i sklep, na pierwszym i drugim piętrze będą, ot sobie prywatne mieszkania do wynajęcia. — Mimowoli zatem nasuwa się pytanie, po co właściwie podejmuje Kasa tę budowę? Jeżeli jedynie z tego powodu, że dzisiejszy lokal jest za szorstki, to zdaniem naszym zarządziłoby się tej niedogodności przez wynajęcie całego parteru w kamienicach np. pp.: Alasa lub Paulina; pod względem materialnym byłoby to nawet lepszy interes dla Kasy, jeżeli się zwąży, jak wiele kosztuje utrzymanie każdego budynku publicznego. Dlaczegoż mimo tego postanowiła dyrektorka tę budowę? Wszak nie zaprzeczają pp. dyrektorzy, że kierować nimi musiela jakaś myśl wyższa. Dyrektorka pragnęła, by tak piękna i poważna instytucja obywatelska, jaką jest tażeż Kasa oszczędności, posiadała własny swój przybytek, własny gmach, któryby był pomnikiem, świadczącym potomości o pięknym wzroście i rozwoju tej instytucji. Nie podjęto wprawdzie kosztownej budowy monumentalnej, postanowiono przeprowadzić ją w skromniejszych zarysach; niechby i tak było, właściwa myśl: przez to jeszcze nie została zwichnięta, ale otwarcie powiedzied musimy: zwichnięta i wykojęłona została dopiero przez to, że dyrektorka nie uznała za stosowne uwzględnić słusznych wymagań mieszkańców miasta, że nie zrobiła nic dla dobra ogółu. Dyrektorka postawiła Kasę oszczędności na równi z prywatnym przedsiębiorstwem, które nie ogląda się na nic więcej, tylko na własną kieszeń. Cóż to za przybytek obywatelskiej instytucji, cóż to za świątynia cnoty oszczędności,

sobie papierosa i przystępując do mnie bliżej — zapytał:

- To pan naprawdę murarzem?
- Murarzem jestem rzeczywiście.
- A kto tu pana zna?

Na to odezwali się chórem moi towarzysze:

- My go znamy wszyscy!
- To nie wystarczy, czy zna pana który z tutejszych gospodarzy?

Z obecnych wieśniaków naturalnie żaden się nie odezwał.

Wtem starszy majster zawołał: wójt go zna!

— Tak? odrzekł fűhrer. — Ciepła, przywołać tu wójta — niech zaraz przyjdzie.

Nastąpiła pauza, fűhrer zaczął sobie podać kieliszek wódki, za jego przykładem zaczął i pan majster dać wszystkim towarzyszom po sporym kielichu, usiedliśmy przy stole na ławach — wydobyli ser, masło i chleb i poczęliśmy się posiadać.

Niehawem nadziedził wójt; za nim zagadła ze stani kilku żołnierzy. Jeden z nich rądy, o nieprzyjemnym chytrym wyrazie twarzy, zaczął szybko oczami to na wójta, to na mnie.

Pozdrowiwszy obecnych zwrócił się wójt, chłop rosły i poważny, do komendanta posterunku i zapytał:

- Co sobie pon fir zycą?
- Czy znacie tego pana? i wskazał na mnie.

Starszy majster dał tymczasem wójtowi głową znak potakujący.

— Cobym nie znoł — odrzekł wójt powoli — znam, to muloz z Radomyśla.

— A jak się nazywa? indaguje dalej komendant.

— Jak się zowie, tego nie wiem, bom się o to nie pytoł — alem go widywoł.

— Możecie odejść wójcie, rzekł komendant, a zwracając się do mnie zawałał: proszę pana na chwilę do alkierza.

Weszliśmy do drugiej — małej izby, sierżant przystąpił do mnie blisko i głosem cichym rzekł: jestem Piotr Janowski, były gimnazjalista, od lat dwu żołnierz, lecz nie przestałem być Polakiem. Chętniebym pana uwolnił — bo że pan wracasz z powstania, to dla mnie nie ma żadnej wątpliwości — lecz wójta potwierdzenie pańskiej tożsamości z radomyśkim murarzem było nie wystarczające, a zwłaszcza uwatęłem, że takim się wydało fra-

trowi, który przysłuchiwał się z drzwi. Jest to człowiek zły, mój nieprzyjaciel, onby mnie zaraz zdenuncyował kapitanowi i byłbym pociągnięty do surowej odpowiedzialności. Panu się zaś nic nie stanie; jeżeli pan jesteś Galicyjanin, to cię odstawią do miejsca przynależności, a stamtąd łatwo się pan wykręcisz. Gorzej będzie, gdy będę zmuszony odstawić pana w przebraniu do kwatery kapitana i tam pana zdemaskują.

— Dzięki panu serdecznie za otwartość i okazane mi współczucie; odgadł pan, jestem rozbitkiem z oddziału majora Ślaskiego.

— Major Ślaski właśnie leży ranny w Zaleszanych, gdzie stoi kwatery nasz kapitan, odparł Janowski.

— Tem lepiej, odrzekłem, dowiem się coś pewnego o stanie naszego kochanego dowódcy. A więc precz z tą kapotą, z tym rądem na głowie! to mówiąc ściągłem żwawo kapotę murarską i olbrzymią czapkę, wydobywary zaś kepi z kieszeni zasadziłem je z fantazyą na głowę.

Miałem na sobie mundur granatowy, na kolanach dwie gwiazdki srebrne, oznaki oficerskie, byłem bowiem porucznikiem.

gdzie obok kilku pokoi, zajętych przez Kasę, zresztą nie będzie nic więcej, jak tylko sklepik i mieszkania! Na dół „grzebielero!” a. p. pani Ryfki Kocznigard, na górę mieszkania prywatne, a nad oknami aszmalne napisy i godło. Matri Boskiej? Jeżeli tak urządzonym być ma przyszły budynek, jak to obecnie z planów się okazuje, to stokroć lepiej i dla miasta i dla samej instytucji byłoby wszystkiego zaniechać, potomność nasza kiedyś zdobyłaby się na coś lepszego!

Pierwotnie przyjęto wprawdzie myśl urządzenia w nowym budynku apartamentów dla Kasyna miejskiego, jednakże rokowania z Kasynem do skutku nie doprowadziły, wobec tego więc dyrekcja skonstatowała, że miała jak najlepsze chęci, zdawało się jej, że uczyniła już zadość wszelkim obowiązkom względem ogółu, i powzięła postanowienie prowadzenia budowy wedle powyż wspomnianego planu. Zapomniała widocznie o projekcie, podniesionym i gorąco popieranym przed kilku laty przez ś. p. dr Ambroży Towarnickiego, zapomniała o oklaskach, z jakimi sama wówczas myśl tę przyjęła.

Od dawna już czuć się daje w Rzeszowie brak przyzwoitej sali, dotychczasowa bowiem w „Luftmaszynie” raczej do stajni jest podobną i w niczem nie jest w stanie odpowiedzieć potrzebom miasta. Otóż myśl urządzenia podobnej sali w nowym budynku podniósł dr Ambroży Towarnicki. Spodziewano się też powszechnie, że dyrekcja Kasyna oszczędności uwzględni tę potrzebę, że zbuduje odpowiednią salę, podobnie jak to ma miejsce po innych miastach. Niestety jednak stało się inaczej, większość bowiem członków dyrekcji wprost niechętną była temu projektowi, z powodów rzeczywiście dość niesrosumiałych. Trudno bowiem przypuścić, by wygórowana chęć ciągnięcia jak największych zysków z przyszłej budowy stanąć miała na przeszkodzie wyświadczeniu tego dobrodziejstwa miastu... zwłaszcza, że sala podobna przynosiłaby dochody jeśli nie równe, to z pewnością nie wiele mniejsze aniżeli prywatne mieszkanie, salę tę bowiem wynająłoby z pewnością „Kółko literacko-muzyczne”. Wreszcie z czem podobnym liczyć się mógł prywatny przedsiębiorca, ale nie

instytucja miejska tego rodzaju, dla której sygnali nie powinny być jedynym celem.

Mylsam jest zatem zapatrywanie tych panów, którzy sprzeciwiają się temu projektowi z powodu, że przez zrobienie podobnego użytku dla miasta zmniejszący się mógł czynsz o jakie 200 zlr. lub więcej; zdanie to ze stanowiska ich, jako ludzi prywatnych, podejmujących się prowadzenia przedsiębiorczej budowy, byłoby racjonalne nie jest jednak racjonalnem zdanie to, wygłoszone ze stanowiska ich, jako kierowników takiej instytucji publicznej. Kasa oszczędności bowiem wzrosła i wykarmita się pierśią obywateli tutejszych, to własność miasta, własność ogółu. Dlatego więc ten ogół mieszkańców miasta ma prawo żądać i wymagać podobnego uwzględnienia jego interesów, a dyrekcja tym słusznym wymaganiom winna była zadość uczynić, lecz nie uczyniła.

Postanowienie dyrekcji wzbudziło ogólny nieśmak i rozgoryczenie, a tu i ówdzie wulgiuje słośliwą krytykę, której trudno także nie przyznać pewnej słuszności. Wszyscy z niechęcią i gorzką ironią spoglądają na plac przy ulicy Pańskiej, gdzie już poczyniono przygotowania do przyszłej budowy.

Rzeszów, jeżeli nie raz na zawsze, to przynajmniej na długi szereg lat traci jedyną sposobność przyjęcia w posiadanie przyzwoitej, odpowiedniej stósunkom tutejszym sali, która tak konieczną jest dla każdego większego miasta a tem bardziej dla miasta, liczącego tak wielką ilość inteligencji. W tym względzie zapatrywania większości członków dyrekcji Kasyna oszczędności i publicznej opinii rozeszły się wprost przeciwnymi drogami, a pomnikiem tej nieszczęśliwej różnicy zdań będzie niestety przyszły budynek przy ulicy Pańskiej.

Dziś podnosimy tę ważną sprawę, bo zła jeszcze naprawićby się dało. Wprawdzie plany wygotowane, ale okoliczność ta jest mało znacząca; p. Bieńkowski z chęcią wykona drugi plan w jak najkrótszym czasie. Nicby nie stanowiło, chociażby nawet obecny plan już do satwierdzenia o. k. Namiestnictwu przedłożony został, tam może być każdej chwili przedłożony nowy plan, który również zatwierdzenie uzyska. Przeciwno tej uchwale dyrekcji, tak dotkliwie krzywdzącej

ogół, wnosionem być może przedstawienie do wydziału Kasyna oszczędności w formie adresu na ręce prezesa, dr. Alojzego Rybickiego. Adres ten podpiszą z pewnością wszyscy poważni obywatele, a wydział niewątpliwie przychyli się i uczyni zadość słusznym wymaganiom.

Sprawa budowy nie dozna żadnej zwłoki, gdyż pan inżynier Bieńkowski na czas jeszcze plany wykona. Zaczęło do kosztów wykonanego a nie ujętego planu, mógłby chyba zartem być podniesionym, bo cóż znaczą kilkadziesiąt zlr. tam, gdzie wydaje się kilkadziesiąt tysięcy, a wreszcie wygoda i dobro publiczności nietyko wapótczasnej ale i przyszłych pokoleń więcej wazy niż honorarium jakie polikwiduje sobie p. inżynier za sporządzenie planu. Panowie dyrektorzy, sznani nam zresztą skądinąd z zasięg około dobra, rozwoju i wzrostu Kasyna, nie powinni naporczywie trwać przy swoim zdaniu powinni zaniechać wszelkich kroków, by na swoim postawić. Ludźmi jesteśmy, błądzić możemy, a poznawamy błąd pigięnie i szlachetnie postępujemy, naprawiając go, póki jeszcze czas.

Kronika miejscowa i zamiejscowa.

Rzeszów, 11. grudnia.

* Wieczorek Mickiewiczowski urządza dziś Kółko literacko-muzyczne w sali Towarzystwa kasynowego.

* Sejm krajowy rozpoczął obrady dnia 9 b. m. pod przewodnictwem nowego marszałka hr. Tarnowskiego.

* Marszałek Zybkiewicz w przejeździe do Krakowa zatrzymał się w Rzeszowie, gdzie odwiedził dra Alojzego Rybickiego. Członkowie wydziału powiatowego i grono znamięnitą działalność. Pan marszałek przyjął deputacje nader uprzejmie i obiecał i nadal gorąco popierać żywoite interesa kraju.

* Pan Jan Kanty Steczkowski, rodem z Dąbrowy, kandydat adwokacki w Rzeszowie, otrzymał 6. b. m. na uniwersytecie krakowskim stopień doktora praw.

(Zapytałby ktoś może, jak mogłem być porucznikiem, skoro w bitwie broniałem moją był karabin? Na to odpowiem, że u nas oficerzy, dopiero od kapitana w górę używali szabli).

— Co znaczą te gwiazdki? pyta Janowski.

— Rangę porucznika, odrzekłem.

— A więc, panie poruczniku! zawołał głośno, proszę do dużej izby.

Nastroiwszy tęgą minę wojskową, wszedłem pewnym krokiem do szynkowni i zawołałem: jak się macie panowie wojsacy? Żydzicie, daj tu pół garnca wódki, pan sierżant pozwoli, że się żołnierze trochę rozgrzeją.

— Nie mam nic przeciwko temu, panie poruczniku.

Nalalem kieliich i salutując: „za zdrowie obecnych, zawołałem, w ręce pana”. Janowski przypił do starszego majstra, ten do frajtra, i tak na przemian z ręki murarza szła czarika w ręce żołnierza. Żołnierze salutując dziękowali, a kilku zawołało: za zdrowie pana porucznika!

Janowski kazał dostawić podwozie, by mnie odestać do Zaleszan.

Gdy fura zajechała, potęgnalem uści-

śnieniem ręki Janowskiego — pocziwych murarzy, skinąłem ręką żołnierzom i w asystencyi dwóch żołnierzy puściłem się furą, dobrze wyscieloną, do kwatery kapitana. Po godzinie może jazdy stanęliśmy na miejscu przeznaczenia.

Wjechaliśmy na dziedzińiec obszernego dworu, kręciło się tu mnóstwo żołnierzy; w okazałym budynku, tak zwanym pałacu, leżał ranny nasz komendant. Straż, nie wiem czy honorowa, czy dla bezpieczeństwa postawiona — chodziła pod oknami, na prawo w obszernej oficynie roilo się od połapanych powstańców, których pilnowało kilku żołnierzy. — Za oficyną ciągnął się ogród a po lewej jego stronie kuchnie i mieszkania czeladzi. Kapitan mieszkał w oficynie i tam miał swą kancelaryą. Zesiadłszy z wozu poszedłem do sieni, gdzie mnie kilku znajomych powitało.

— Co tu słychać, co z nami zrobili? Pojedziemy jutro na koszt rządu do Rzeszowa?

— Ba! powiedz nam, ty sam kolego. Ale odprujcie te gwiazdki, bo inaczej będą mieli na ciebie bacniejszą oko i trudno ci się przyjdzie od kozy wymigać.

Poprosiłem go o tę usługę i zaledwie się przekształciłem na szeregowca, zawołano mnie do kapitana.

Kapitan zmierzył mnie okiem badawczym, ale nie bardzo jakoś srogim, od stóp do głów, i ściągnął ze mnie protokół. Przyznałem się tylko, że dałem wprawdzie do oddziału, ale tymczasem gdy dotarłem do granicy, oddział był już rozbite, więc wróciłem. Kapitan popatrzył na moją kurtkę z uśmiechem i rzekł:

— Trochę po lotniemu wybrałeś się pan o tej porze do obozu.

— Płaszcz mi skradziono w drodze — odparłem nie zająkniawszy się.

Nic na to nie odparł.

Po chwili zapytał, czy mam legitymację? Tę miałem przy sobie, podałem mu. Przeczytał uważnie.

— To pan jesteście akademikiem?

— Tak jest, panie kapitanie, prawda.

— Jutro pojedziez pan z drugimi kolegami do Rzeszowa, teraz proszę udać się do stancyi, tam panu przyniosą posiłek, tylko proszę nie próbować ucieczki, bo toby o wiele pogorszyło pańską sprawę. Przy tych słowach skinął mi głową.

Dr. Józef Barzycki, tutejszy lekarz powiatowy, wydał tymi dniami „Sakio“ statystyczne o śmiertelności w Austrii z lat 1875—1892, ze szczególną uwagą na danie Galicyi. Każdy, kto choćby krótko czas poświęcił jakiegokolwiek pracy statystycznej wie, ile można, ile cierpliwości trzeba, by dokonać dzieła, gdzie cyfry udowodnią najpewniejszą prawdę naszego. Rzadkiem też się w polskim języku dzieła statystyczne, bo brak nam niezbędnej tu cnoty, brak wytrwałości. „Sakio“ dra Barzyckiego otwiera niejednemu oczy; z tego źródła, z przykrem zdaniem dowiemy się on, że krajowi naszymu co do smutnych stosunków zdrowotnych należy się niełatwo, pierwsze prawie miejsce w Austrii, śmiertelność bowiem z roku na rok warasta, a przybytek ludności jest nieproporcjonalnie mały. Są wprowadzić wysiłki, by położyć temu tamę; sanitarne władze krajowe starają się na każdym kroku usuwać niewłaściwości, zapobiegać epidemiom, lecz cóż z tego, kiedy wszystko to rozbijsię o obojętność lub, co jeszcze smutniejsze, o niechęć mieszkańców.

Z radością przeto powitać musimy pierwsze od lat wielu tego rodzaju prace; oby to wymowne cyfry przekonywały obojętnych, że czas już, wielki czas, porzucić ospałość i niechęć, a natomiast wziąć w opiekę zarządzenia sanitarne władz, gdyż tym tylko sposobem możemy pozbyć się niechlujstwa, nieczystości, i co, z tego wynika, epidemii, które dziesiątkują ludność polską, i tak nie bardzo liczną.

Czcigodny autor położył tę obywatelską załugę, że pierwszy wskazał szerszej publiczności zle, co nas dotkliwość gniebi.

O śpiewie panny **Kazimery Hellerówniej** nader pooblebnie wyrażają się dzienniki lwowskie. **Kurjer Lwowski** pisze: „Wieszczek łowarszyski „Lutni“, który odbył się w sobotę w lokalu towarzystwa przy ul. Grodzkich, wypadł pod każdym względem wybornie. Uroczajony program, w którym wzięli udział pp.: **Souvestre**, **Tyberg**, **Kuczkowski** i **panie Heller**, **Blaim**; „udzielił inni członkowie „Lutni“, wykonany został ze smakiem i artystyczną precyzją. Bohaterką „wieszczorki“ była panna **Heller**, młoda śpiewaczka, posiadająca nader miły i metaliczny mezo-sopran i wędrująca nim pewnie i umiejętnie, co, jeśli się

sważy, że podobnie lekko dopiero od 8 miesięcy, przynosił szczęście siłom nauczytelkim „Lutni“. Panna **Heller** ma piękną przyszłość przed sobą“.

Malawę pod Rzeszowem, majątność pp. **Bobrowickich**, nabył lekarz tutejszy **dr. Władysław Niczkołowski**.

Dzień św. Mikołaja przeminał już niestety, ku wielkiemu niezadowoleniu naszych sukcesorów, którzy radziby, by święty ów częściej odwiedzał ten ziemski padół płaczu. Jedyną pociechę tych małoów jest zbliżająca się gwiazdka, która już zdążyła do nich się uśmiechać. Jaki to uroczy ten miesiąc, ten grudzień, dla szczęśliwej działalności, a jak okropnym dla tych ubogich dzieciaków, którzy w św. Mikołaja gwiazdka przynosi tylko zimno i głód. Dlatego więc matki, uszczęśliwiający w dniach tych swe dzieci, powinny pamiętać także i o tych biedakach.

Pamiętajmy o ptaszkach! Najuboższymi są teraz ptaki, nie opuszczające nas w zimie. Minęły dla nich piękne, słoneczne dni lata. Śpiew zamarł, a nastąpiła troska o życie. Ptactwo nie znało długo tej troski. Kilkudniowy głód i mrozy, to dla nich śmierć, spokój, lecz okropna. Ptactwo, rozweselające nas śpiewem, oczyszczające sady, ogrody i pola nasze z szkodliwych owadów, nie żebże jałmużny, choć miałoby prawo do wdzięczności naszej. Osowiato, o napuszonych piórkach, siedzi spokojnie, milcząc, a tylko serca czułe, litosiwe, zrozumiały te prośby nieme. Każdy, kto może, niech spieszy z pomocą. Każda okruszyna chleba, każde ziarno rzucone ręką litosiwą w miejsce dostępne, od śniegu wolne, ratuje życie wiernych naszych przyjaciół.

Ojcowie! matki! nauczyciele! zalecajcie dzieciom tę miłą o ptaki troskę, uczyniając ich metode serduzka! wola **Miesięcznik Tow. ochrony zwierząt**.

Komitet szpitalny nie uwzględnił oferty dotychczasowego dostawcy żywności dla szpitala, p. **Goraja**, lecz wbrew opinii prymariusza dra **Jablonskiego**, przyjął niższą nieco ofertę p. **Silbera**. Oferty p. **Kussackiej**, wdowy po zarządcy tegoż szpitala, nie uwzględniono również, mimo że ta jeszcze niższą była od oferty p. **Silbera**.

P. **Goraj**, o ile nam wiadomo, wywiązywał

się dotychczas nader sumiennie i rzetelnie ze swego obowiązku; ta okoliczność, udeniem naszym, winna być skłonić komitet do przyjęcia jego oferty; która jest wprawdzie nieco wyższą, ale daje gwarancję, że p. **Goraj** z przedsiębiorstwa tego nie stara się ciągnąć zysków z krzywdy chorobych. Opinie lekarza w tym względzie powinna być decydująca.

Jeżozek o Świlczy. Codziennie prawie widać można na ulicy Krakowskiej stada koni, pędzonych wieczorami do Świlczy. Jak słyszemy, wynaleziono tam ostatnimi czasy nowy sposób mordowania tych biednych, słabych zwierząt. Konie skazane na śmierć, wypędzane na łąkę z popętanymi nogami i dozwalają im tam szukać pożywienia, którego rzecz naturalną nie ma, wskutek czego konie po kilku dniach męczarni giną okropną śmiercią z głodu i pragnienia. Przejadając gościnnemu widzieliśmy ostatnio stada tych zwierząt, skazanych na śmierć głodową.

Przy tej sposobności nadmienimy, że starostwo tutejsze, jak dowiadujemy się, jeszcze przed doniesieniem naszym, w zeszłym numerze uczynionem, o wszystkich tych nadużyciach w Świlczy dokładną miłośni wiadomości, że zarządztwo bezwzględnie energiczne środki; fizyk powiatowy **dr. Barzycki** był tam na miejscu, zdał swą opinię i starostwo dalszego zabijania koni surowo zakazało. Ale nie tak to łatwo z naszym niesfornym ludem świlczańskim, który woli narazić się na karę, niż stosować się do rozkazów władz.

Obecnie zarządztwo znouwu ścisłą rewizją po domach, żandarmeryi wydano rozkaz pilnego czuwania. Wyczekujemy jeszcze kroków ze strony Towarzystwa ochrony zwierząt.

Bal „Sokoła“ ma zamiar urządzić podczas zbliżającego się karnawału, nowo zażądane gimnastyczne Towarzystwo „Sokół“.

Sport żyźwiarski niestety upada w naszym mieście. Towarzystwo żyźwiarskie rozwiązuje się i zamierza sprzedać swe ruchomości. „Sokół“ podobno nosi się z myślą nabycia tych ruchomości i urządzenia ślizgawki.

Podpalacz. Przed tutejszym trybunałem sądów przysięgłych odbyła się przed kilku dniami rozprawa główna przeciw **Konstante-**

Oddałem mu grzeczny ukłon i wyszedłem do sieni.

Dwaj żołnierze stali przed sienią na podwórzu, paląc fajki, w dwóch izbach po obydwu stronach sieni zgrupowani byli powstańcy — pokrzepiając się mlekiem, chlebem, serem i wódką, które przyniesiono ze dworu. Nie miałem wcale apetytu do jedzenia.

Dotąd myślał mój był, w ciąglem prawie natężeniu, nie rozmyślałem więc nad smutnem położeniem mojem. Tak niedawno rojone nadzieje zwycięstwa, tak przedko zniknęły, zamiast wkroczać jako zwycięzca do Janowa, potem może do Lublina i tak dalej aż do Warszawy, miałem pod strząż jak zbrodniarz wracać do domu...

Wyzwalem przed dom na dziedzińcu pustą, przy oficynie jeden tylko pozostał żołnierz. Przechyliłem przelotnie mi myśl jak błyskawica: uciekać!

Żołnierz odwrócił się ku mnie i zapytał: „A czemu pan nie idą do izby“.

— Bo potrzebuję wyjść, gdzie się ukryję“.

— Tam na oficynie, kole gnoju“.

Poszedłem krótkim powolnym udając spokój, a tymczasem serce biło mi

jak młotem a w myśli rozbrzmiewało: uciekać!

Poszedłem na wskazane miejsce... żołnierz wyglądał za mną... Wtem kapitan zawołał nań, żołnierz odszedł. Oglądałem się dokoła — nie ma nikogo. Kupa gnoju przytykała do ogrodu, otoczonego płotem plecionym, najczernego tarnina. Audaces fortuna juvat! Cóż mi gorszego się stanie gdy mnie pochwycą!

Nie namyślając się więc skoczyłem na kupę gnoju, stąd jednym susem przesadziłem płot ale — nieszczęśliwie, iż się sukniami zaczepiłem o ciernie i gruchnąłem na drugą stronę ogrodu, szczęściem na miękką, skopaną ziemię. Zerwałem się szybko na nogi i porachkowałem chyłkiem popod okna oficyny, wychodzące na ogrody; przy jednym z nich pisał kapitan.

Dotarłem do tej strony płotu, która wychodziła na budynek czeladzi. Ujrzałem w płocie znaczny otwór, przez który można się było przedostać. Wsuwam ostrożnie głowę, kuchnie o kilka kroków, nie ma się co namyślać! Przekiskam się przez otwór i kilkoma susami jestem już w sieni, stąd na chybił trafił wpadam w pierwsze łopate drwi. Zaleciała mnie przy-

jemna woń korzennych potraw, w białym kaftanie i białej czapce na głowie stał przy dużej blasze kucharz, mieszając w rądlu. Poskoczyłem ku niemu i zawołałem stłumionym głosem: Ukryj mnie pan!

Ten rzucił na mnie okiem, i nic nie odrzekłszy odszczepił prędko zasówkę od jakichś drzwi bocznej ściany i wepchnąwszy mnie tam, zamknął drzwi.

Dokoła ciemno, nie mogłem zrazu rozznać gdzie się znajduję. Ale powoli przyzwyczało się oko do ciemności. W jednej ścianie było malutkie zakratowane okienko, wpuszczające tyle światła, że można było rozróżnić przedmioty.

Byłem w wąskiej a długiej komorze, prócz tapczana z siennikiem, szafy dużej i kilku półek w ścianie, na których stały słoje i fiaski, nie było nic więcej w tej izbie ciemnej. Oglądałem się za skrytką, nie ma żadnej. Nagle przyszła mi myśl! Odsunąłem siekanik, położyłem się na tapczanie bokiem do ściany i zaciągnąłem na siebie siennik. Zaledwie to uskuteczniłem, słysząc hałas w kuchni. (D. n.)

mu Nadbrzeżnemu, 22-letniemu wyrobnikowi z Dombas, o dwukrotną zbrodnię podpalenia. Nadbrzeżny podkopył w nocy 22. sierpnia k. r. w Dombnie narzeko pod komorę włościanina Jana Gogoli, wskutek czego spłonęły domostwa i zabudowania Jana Gogoli, Józefa Koudura, Michała Zlenia i Iwana Wanata. Potarżdził przeszło na 7000 zfr. szkody, przyczem także spaliła się matka córceka Gogolów. We trzy dni potem podpalił Nadbrzeżny domostwa Józefa Maciury i Jędrzeja Maciury, a pożar ten zniszczył nieszczęśliwym całe mienie i wyrządził przeszło 3000 zfr. szkody. Pod sądny przyszedł się do cynu i podał cięka we motywa, które skłonić go miały do popełnienia tych zbrodni. Józefa i Jędrzeja Maciurów podpalił za to, że pobili go przed 12 laty, gdy był jeszcze małym chłopcem, na Janie Gogoli chciał zemścić się za to, że wygrzebał mięso krowy, zakopanej z polecenia wójta. (?) Czy rzeczywiście te były motywa popełnienia tak okropnej zbrodni? Innych rozprawa nie wykazała. Trybunał pod przewodnictwem radcy sądu, p. Tałasiewicza, skazał Nadbrzeżnego na 15 lat ciężkiego więzienia.

* Jaskinia piratów. Tem mianem rozczywiście nazwano możną karczmę Basii Rosenbergowej w Niebylcu. Kradzieże i oszustwa są tam na porządku dziennym. Włóścianie wiedząc o tem, pilnują się dobrze, sprytni Basii jednak przechodzi najtroskliwszą ich czynność. Bierze się ona na najrozmaitsze sposoby, najulubieńszym jednak jest tumanienie ludzi przez wyस्पywanie rozmaitych ingrediency do wódki. Chłop po wypitym kieliszku tumanienie, traci przytomność, a tą chwilę wybiera Basia, by wykonać rewizję na delikwencie i zabrać mu wszystko, co tylko ma przy sobie. W ten sposób skradziono tam Michałowi Jasińskiemu z Bliżanki 73 zfr., Jędrzejowi Sasowi 23 zfr., Józefowi Biafasow z Niebylca 19 zfr., Grzegorzowi Darzykowskiemu 30 zfr. i t. d. Słowem, każdy gość w karczmie tej musiał poddać się tej poniewolnej rewizji. Nie pomagały krzyki, prośby i groźby, Basia tak zreszcie wykonywała swe rzemiosło, że przez cały szereg lat do odpowiedzialności pociągnięta być nie mogła. Sprawdziło się jednak przyswioie „do czasu dzban wodę nosi“, Basię przychwyciono na gorącym uczynku i przed kilkoma dniami stanęła ona przed trybunałem tutejszym, pod zarzutem całego szeregu zbrodni kradzieży, oszustwa i sprzeniewierzenia. Sad po przeprowadzonej rozprawie, pod przewodnictwem radcy p. Tałasiewicza, uznał ją winną i skazał na karę sześciolatniego ciężkiego więzienia.

Nadmienić musimy, że tego rodzaju zbrodnie w karczmach, po wsiach i miasteczkach okolicznych są na porządku dziennym; przed tutejszym sądem odbyło się już wiele tego rodzaju rozpraw karnych; winny odsiaduje karę, poczem wraca napowrót do wsi, by dalej uszczęśliwiać biednych chłopków. Wątpliwe to zasługa naszych obywateli, którzy deklarowanych zbrodniarzy, podobnych ludzi najgorszej kondyty, utrzymują po wsiach i wypuszczając im propinacye, oddają lud swój na pastwę wyzyskiwania. Czyż to niemoralny i nieobywatelski!

* Fałszywych dwudziestocentówek węgierskich kursuje wielka ilość w naszym mieście. W jednym z tutejszych sklepów widziliśmy całą kolekcję tych fałszyków, zebranych ostentacyjnie dla nam.

* Muza podkaszana chwaliła sobie także siedlika i w murach naszego miasta. Towarzystwo szanosenek pod dyktando p. Borgoraz daje przedstawienia w kawiarni Klapphoisa.

* Wiadomości policyjne. W czasie od 4. do 10. h. m. przytrzymała policya miejsca 30 osób, a mianowicie: za kradzież 3, za włóczęgostwo 3, za zbieranie 2, za pijanstwo i burdy uliczne 4, za szybki i nieostrożną jazdę 3, za dręczenie zwierząt 2, za sprzen-

wienie się policyi 1, szpasem przybyły 3, za sąd po odsiedzeniu kary 10 osób. Z tych oddano do sądu 6, aresztom w drodze policyjnej ukarano 6, grzywny i odsędusowane i wydano z gniaz 13, oczekają na odsędusowanie 4 osoby.

* Wiadomość Mierzwiniński przybędzie do Lwowa i daje koncert dnia 18. stycznia w sali „Sokoła“ na cele dobroczynne. Zamówienia na bilety przyjmuje kancelarya szkoły muzycznej p. Marka i księgarnie lwowskie.

* Wydalania żydów. Rząd rosyjski zarządził w Kamieńcu Podolskim wydalenie wszystkich żydów, których liczba wynosi około 6000 dusz. Na podstawie znanej ustawy dawniejszej, że żydom nie wolno mieszkać w pasie 5 wiorst od granicy, chcą obecnie wypędzić żydów, mieszkających od czasów niepamiętnych w stolicy Podola, bo Kamieniec Podolski ma lotyć zdnieniem tamtejszych sławnych geometrów właśnie w tym pasie granicznym. Wskutek tego odkrycia otrzymało w lipcu b. r. 29 rodzin żydowskich rozkaz opuszczenia miasta w przeciągu dwóch miesięcy. W miesiącu sierpniu znowu drugi podobny nastąpił rozkaz, którym 40 rodzin na emigracyę skazanych zostało. Tak istotnie plan pozbycia się powoli wszystkich żydów z Kamieńca podolskiego. Wszelkie dotychczas rozkazione przedstawienia o cofnięciu tych rozkazów, były bezskuteczne. Obecnie udano się z prośbą do carowej, przy sposobności jej urodzin.

* Drogi konkurent. Młodzieniec pewien, niezbyt świetnie uposażony, zakochał się w Warszawie w córce bogatych rodziców i pozyskał serce swojej ideały, zachodziła tylko trudność w pozyskaniu zezwolenia ojca, który zresztą kandydata na zięcia wcale nie znał.

Plan obmyśliła panna. Wiedząc, że ojciec bardzo lubi lubić otwartych i szczerych, doradziła wybranemu, by się odważył przedstawić się ojcu i bez ogródki oświadczyć swe zamiary, pamiętając, aby na wszelkie pytania odpowiadać tylko prawdę.

Stało się. Młodzieniec zjawił się u ojca swej ukochanej.

- Czego pan sobie życzy? — zapytano go po krótkiej rekomendacyi.
- Otwarcie mówiąc, ręki pańskiej córki.
- Tak? a masz pan majątek?
- Otwarcie mówiąc, nie.
- Więc długi?
- Nicinaczej.
- A ile?
- Około ośmieszat rubli.
- A może i frak, w którym tu przyszedłeś, wynajęty?
- Niestety!

Papa widząc skruszoną młodą dziewczynkę, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Wiess pan, że oryginalny z pana konkurent.

— Cięższy mnie uszanie pańskie...

Papa zaczął się śmiać na dobre.

— A córka moja zgodna się?

— Ona mnie przylecia do panna.

— Myślicie więc żyć z tego, co ja wam udzielię?...

— Z największą przyjemnością, gdyż ja smę...

— A no, zobaczysz.

Przywołana córka potwierdziła szanowanemu konkurentowi.

— No, no... nie nie zgodzi, kiedy moja córka się kocha, to jakże to będzie.

To mówiąc, ojciec postąpił do kary wnieśli, a wyższy od młodzieńców, wstąpił ja szanowanemu młodzieńcowi.

— Masz, zapłać przedwzrostem drugi, a wieceorem przyjdź na herbata, to pomówimy o reszcie... Tylko pamiętaj, jeżeli będziesz miał córke, nie mać wydzawę, a wnetż żęć pierwsze poznanie przyznaję zięcia malej się kasztowało.

* Harom szacha perskiego. Ofiara kroniki sułtana tureckiego Europa wie, a tyle sprawy haromu szacha perskiego są jej niestanęcy; nie ma jednakowej zapewne miejsca, do którego nie potrafiłyby docisnąć się reporter dziennikarski.

Dawniej istniał w Perzy prawny przepis, na mocy którego każdy meczynszyna musiał unikać spotkania małżonki szacha i księżniczek. Za przekroczenie tego przepisu groziła kara śmierci.

I teraz nawet europejczycy skrącają w boczną ulicę, gdy usłyszą naprzeciw siebie wołanie eunuchów, towarzyszących damom pałacowym, *gitschen!* (z drogi). Były poseł amerykański Boniamin, narobił sobie wiele nieprzyjemności wskutek tego, że tak same nie uczynił. Lubił on chodzić po ulicach w towarzyswie swego służącego.

W czasie jednej z takich przechadzek przytrafiło mu się spotkanie damy pałacowe, przed którą mimo wołania eunuchów nie chciał zejść na inną ulicę; następstwem tego było, że służącego jego wybito, a jego samego przemocą wciągnięto na inną ulicę.

Następnego dnia wniósł poseł formalne zażalenie na to postępowanie, lecz odpowiedziano mu grzeczenie, że studzy królowny sądził, iż poseł tylko konno jeździł, że szalem w piesszo idącej osobie nie domyślali się posła.

Generał Gasteigerchau, oficer austriacki, który dłuższy czas był w służbie szacha, postąpił sobie dowcipnie. W czasie pierwszej przechadzki spotkał on małkę szacha i damy pałacowe. Uczynił tedy to, co krajowcy, to znaczy odwrócił się twarzą do muru, lecz mimo to, każdemu przejeżdżającemu powozowi kłaniał się swą odwrotną stroną.

Damy nie mogły powstrzymać się od śmiechu, a następnie zającie to opowiedziały szachowi. Ten nie spoczął, póki generał nie pokazał, w jaki sposób kłaniał się powozom, poczem podziękował mu za jego dyskretyę.

Świeżo „dostawy“ do haromu odbywały się często, nieraz po kilkanaście kobiet naraz. Pozbywają się ich zaś w sposób bardzo prosty. Ani ich bowiem w worki nie zasywają, ani z wień nie strącają, ani też nie trują, jak to bywało w Stambule. Zawiadają tylko któregoś z generałów na prowincyę, że otrzyma zoną z haromu szacha. Odmówić przyjęcia nie można.

Wysortowana z haromu piękność, przybywa zatem pewnego pięknego poranka do jenerała i obejmuje pierwsze miejsce w domu obdarzonego.

Sylwetka austro-węgierskich ministrów stanu.

Wohwili, gdy nazwiska dyplomatów Austro-Węgier, odgrywających obecnie rolę w polityce europejskiej tak doniosłą rolę, z ust dużę podawane bywają, nie od rzeczy będzie podać czytelnikom, małą sylwetkę tych wybitnych osobistości monarchii.

Dr. Julius Andruszy brał udział w r. 1848/49 w powstaniu węgierskim, a odwróciwszy się za granicę, został wraz z wielką przyjaźnią powieszonym na szafce. Do uzyskania swej wrocił dopiero po niepowodzeniu wojny dla Austrii w roku r. 1859. Klękał, jakie Austriya poniosła w roku 1866 i ostatnie lata następstwa ślubliwy Andruszego do dworu i polityki.

Andruszy jest wrostu średniego, powściągniętością eleganckiej, ma blyszczące ciemne oczy, łuzarski wąs, czarne kłopotliwe włosy, a jego tryw sposób mówienia jedyną ma przydatną.

Umiał on rozstrzpanie własne arystokratyczne skłonności podporządkowywać dokoła królewskiemu kłopotliwym Franciszka Déka. Miał on, że Wiedeń sam bardzo lubił, potrafił magnatów węgierskich skłonić do tego, by

nieodbył swą prewencją do Pesaru i tej to okoliczności zawdzięcza. Peszt swój szybki wzrost i zadziwiający rozwój, który czynił to miasto najpiękniejszą z europejskich stolic drugorzędnych, Bruksellą wchodnią.

Gdy w r. 1870 Benotowi nie udało się koalicyi przeciw Prusom, wakat szybkich zwycięstw tychże i gdy Benst wakat tego miał ustąpić, został na jego miejsce powołany Andrassy, który też wkrótce stał się ulubieńcem cesarskiej pary austriackiej i potrafił uzyskać nieograniczony wpływ na cesarza. Franciszka Józefa. Na kongresie berlińskim odgrywał Andrassy wybitną rolę a świat cały dziwił się bardzo, gdy w rok później służył urząd. Powód dymisji jego nie jest nikomu wiadomym. Jedni sądzą, że Andrassy stał się zbyt śmiałym, a cesarzowi, który na punkcie etykiety jest bardzo surowym, spryknęło się wołne zachowanie się ministra. To jest pewnem, że Andrassy miewał czasami zwycięże baszy tureckiej; połów kasal przyjmował swym sekretarzem, ważnych depech czasem całymi tygodniami nie otwierał i na nie nie odpowiadał; prótność podwładnych swych sąjdotkliwie drażnił, podczas gdy w wyższych sferach czynił sobie nieprzyjaciół przez to, że do towarzysza swego przypuszczał ludzi zasłużonych, lecz nie odszcząających się ani stanowiskiem, ani urodzeniem. Lubił Andrassy prócz tego blaśk i świetność, pokazywał się chętnie w swym łóaticym od klejnotów, węgierkim stroju magnackim, ekwipate miewał książęce, gościnnym był aż do rozrzutności, a prócz tego lubił użadać się za wesoehwałdnego w państwie.

Naturalna rzecz sątam że wśród takich okoliczności nieprzyjaciół miał wielu. Wszystko to jednak nie mogło zachwiać jego stanowiska, bo był zawsze cesarza przyjaciołam i doradcą. Niedorzecznością byłoby przypuszczać, by ten, wychowany na dworach hrabia, mógł okazać brak taktu wobec swego monarchy.

Powodów jego upadku szukać należy w motywach politycznych. Dziś 'knowu' coraż częściej daje się słyszeć w polityce nazwisko hrabiego.

Hr Kalnoky (ur. 1832) rozpoczął swą karierę jako oficer husarów. Dopiero w 30 roku życia przeszedł do dyplomacji, do której przygotowywał się studyowaniem ob-

cych języków i prawa międzynarodowego. Jest o głowę niższym od Bismarka, ale za to również łyżym, długi wąs i aktywne postawa nadają mu typ wojskowy. Dyplomatom niższej rangi zwykł przy powitaniu podawać tylko jeden palec. Zaletą jego jest niezmierna pilność. Jest niezotanym i... nieogóscinnym. Od czasu, jak zamieszkał w pałacu ministerstwa spraw zagranicznych, nie dał jeszcze ani jednego balu — a stanowiska swego nie porzucił nigdy na czas dłuższy, jak najwyżej na 8 dni. Jako minister spraw zagranicznych, starał się zawsze o pozyskanie przyjaźni Bismarka, którego też corocznie odwiedza.

Jako jego przyszłego następcę wymieniają hr. Andrasego, albo też obecnego wspólnego ministra finansów, Benjamina Kallaya.

Kallay, również Węgier z rodu, swą szybką karierę zawdzięcza nie łaskom na dworze lecz swym parlamentarnym sukcesom. Piśze wybornie i jest znakomitym mówcą. Broszura jego o kwestyi wachodniej, wydana przed kilku laty, zwróciła na siebie uwagę całej Europy.

Kallay jest przystojnym mężczyzną, średniego wieku, dobrej postawy, rysy twarzy inteligentne, oczy rozmarzone. Jego dar rozmowy jest olśniewającym, postawa pełna godności, a energia i pracowitość nadzwyczajne. Mając sobie powierzoną administracyę Bośni i Hercegowiny, używa kilka tygodni rocznie na objazd tych krajów, aby poznać potrzeby i życzenia tychże, aby ulżyć im ciężarów. Sądzą, że jeśli nie zostanie nigdy powołanym na urząd ministra spraw zagranicznych, będzie bezwztpienia następcą Tiszy w urzędzie prezydenta ministrów węgierkich.

Koloman Tisza stoi już przez 11 lat na czele rządu węgierskiego. Powierzchność jego i postawa nie zdradzają wcale olbrzymich zdolności. Z okularami na sokolim nosie, ze szgarbionemi ramionami, z brodą zawsze w nieładzie, z siwymi włosami, aż do kolaniera wytartego surduta sięgającymi, w sgniecionym kapeluszu, z taniem cygarem w ustach — wygląda raczej na handlarza staryżną, niżli na ministra. Mówi niewiele, gardzi wyszukaną grzecznością i wystudowanymi zwrotami mowy. Nie jest ani mówcą, ani finansistą wybitnym, ani śmiałym przy-

wódcą partyjnym, a przecięt jest najulubieńszym i najpoważniejszym politykiem we Węgrzech. Jego niewystudowane mowy, mają więcej treści, niłi wypracowane przemówienia jego kolegów, a administracya jego jest wzorowa. Tisza jest ścisłym kalwinem, pobożnością swą nie popuście się jednak, w obronie cierpliwy, przeciwnika swego stara się zawsze przekonać o słuszności swego zapatrywania; pracuje usilnie dla dobra swego kraju. Te to przymioty utrzymują go w urzędzie już przez lat jedenaście.

Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcyi, która też żadnej za nią odpowiedzialności nie przyjmuje.

NADEŚLANE.

Dnia 5 b. m. pogrzebalimy naszą nieodżałowaną Matkę starszatkę. Kilkunastu młodzieży wyższego Gimnazjum świewioliło obrzęd pogrzebowy pięknie odpięwanym chórem, za co wszystkim tym panom serdeczne składamy dziękę. 248 1-1

Jan Ptaszyk. Dionizy Ptaszyk. *Balbina z Ptaszyków Klementowska.*

NADEŚLANE.

By mieć zęby zdrowe i piękne, koniecznem jest codziennie czyszczenie ich środkiem wypróbowanej jakości. Takim jest prawdziwa

Anaterynowa woda do ust, pasta i proszek do zębów 37 5-5

Dra J. G. Poppa, c. k. nadw. dentytaty, we Wiedniu, I, Bognergasse Nr. 2.

SKŁADY mają w Rzeszowie: apt. W. Kalinowski, apt. A. Karpiński, J. Schuller i Sp., drog. J. B. Zachara. i handel galanteryjny Jaschimowicz.

Ceny rozumieją się za 100 kilo				
Ziemio-płody	RZESZÓW	KRAKÓW	LWÓW	
Pszonica	8.— do 8.25	8.20 do 8.80	7.10 do	8.05
Żyto	5.75 do 6.—	6.30 do 6.70	5.02 do	5.95
Jęczmień	6.— do 6.25	5.75 do 7.—	4.50 do	7.—
Owies	5.— do 5.50	5.50 do 5.70	4.25 do	4.80
Konicz	42.— do 46.—	— do —	38.— do	45.—
Rzopak	9.— do 9.50	— do —	9.— do	9.20
Grzech	8.— do 9.—	8.40 do 9.75	5.70 do	9.—
Wyka	6.— do 6.50	— do —	4.65 do	5.10
Chmiel	— do —	— do —	— do	50.—
Okowita	— do —	— do —	23.15 do	23.60

OGŁOSZENIA.

DOM

w Jarosławiu

pod numer 105—106, koły kościółca, należący do speculatorów Świtalskich, jest z własną klatką do opieszania. — Bliskość wieloletniej stryżny mebla w Adama stryży „Karyera Rzeszowskiego“ lub u p. Świtalskiego w Przeworsku. 249 1-2

Piekarnię

Wypiekane będą wyłącznie świeżo rżany chleb i słasne ciasteczka po umiarkowanych cenach. — Na każde wyzłabam, jakie słasne ciasteczka wyciągnę — także 17-letnią praktykę w celi, między 13 godzinami wiecznymi wspaniałe miodu wyciągnę. — Z głębokim szanowaniem.

250 4-5 Ludwik Juszcak.

Słota, zimno, nie szkodzi!

Tylko 1.85 zlr.

Dla panów!

Dla pań!

Nieprzemakliwe, ciepłe, trwałe i zdumiewająco tanie są moje gsto, nadzwyczaj dobrze ubierające



KAPTANIKI „mieszczanskie“

na jesieć i zimę dla pań, panów, chłopców i dziewcząt. Wszystkie po jednakej cenie, bo tylko 1 zlr. 85 cent. za sztukę.

Te sławne kaptaniki „mieszczanskie“ są dla każdego człowieka niezbędnym odzieniem, w kolorach: szarym, brunatnym, miedzianym, „drap“, „bordoux“, niebieskim i czarnym w szpacie. Kto ma kaptaniki posiada, jest zabezpieczony od siłny wilgoci, gdyż to przykryją je stała i utrzymują je doskonale ciepło, są zatem niezmiernie wartości dla każdego. Opieca wrzyci wyszczągnięci niżej gatunków po 1.85 zlr. są dla nas jeszcze 2 lepsze gatunki w szpacie:

Z przedniej wołny „Zell“ tylko 2.85 zlr.

Z wołny „Zell“ kręconej tylko 4 zlr.

Zamiast miary wyszczągnięć cary dla wielkiej, średniej lub malej osoby.

Wszysto za pobraniem jedynie firma Julius Fekete, Versandungshaus in Wien, Ludw. 47, Kundsthermstrasse 13/12. 255 6-12

Mieszkanie

składające się z 7 pokoi, kuchni, piwnicy i strychu, jest od 1. stycznia 1887 roku za mierną cenę do wynajęcia. Blizszej wiadomości udziela Księgarnia J. A. Pelara.

Najlepsza Nafta salonowa nieeksplodująca w mniejszych ilościach i beczkami w składzie

J. Schuller i Sp. 223 w Rzeszowie. 6-10

